

Vanessa Chan
ROZPĘTALIŚMY
BURZĘ

Przełożyła
Ewa Penksyk-Kluczkowska

MARGINESY

The Storm We Made

COPYRIGHT © 2024 by Vanessa Chan

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2024

Dla mojej matki i mojego dziadka,
którzy zawsze stawiali na życie

Miły Czytelniku!

U nas w Malezji wyrazem miłości dziadków jest milczenie. A dokładniej – dziadkowie nie mówią o swoim życiu w latach 1941–1945, w którym to okresie Cesarska Armia Japońska najechała Malaje (tak się nazywała Malezja przed odzyskaniem niepodległości), przepędziła brytyjskich kolonialistów, a spokojny naród pchnęła do bratobójczej walki.

Problem w tym, że nasi dziadkowie są gadatliwi na każdy inny temat. Opowiadają nam o dzieciństwie – o sąsiadach i kolegach, z którymi się bawili, o nauczycielach, których uwielbiali, nauczycielach, których szczerze nie znosili, o duchach, których się bali. Opowiadają o życiu dorosłym – rumieńcu z powodu pierwszej miłości, strachach rodzicielstwa, o tym, jak po raz pierwszy dotknęli naszych twarzy, twarzy swoich wnuków. Natomiast o tych czterech latach II wojny światowej napomykają rzadko, jedynie po to, by powiedzieć, że to były złe czasy, a oni przeżyli. I zaraz dodają, że mamy zmykać i nie być ciekawscy.

Zanim zabrałam się do pisania *Burzy*, znałam ledwie garść faktów na temat japońskiej okupacji. Wiedziałam, że Japończycy pomysłowo najechali nasz kraj na rowerach, od północy, przez Tajlandię, podczas gdy brytyjskie działa czekały na nich od drugiej strony, wycelowane w morze. Wiedziałam, że Japończycy byli brutalni i zabijali bez litości. Że po inwazji zrzucali czerwone ulotki propagandowe z hasłem „Azja dla Azjatów”, co było ostrzeżeniem i jednocześnie wezwaniem do broni.

Jako pierwsze wnuczę w rodzinie mojego ojca spędziłam mnóstwo czasu z dziadkami, jego rodzicami, zadając im mnóstwo

pytań, na które oni z miłością odpowiadali. Po dziecięcemu wpytując babcie, wyciągnęłam z niej więcej faktów: Jak się zachować w czasie nalotu („Leż płasko i nie podnoś się, dopóki samolot całkiem nie odleci, bo bomby spadają na ziemię, gdy samolot jest przed tobą, nie nad tobą”). Jak zostać oczkiem w głowie mamy („Musisz być przystojnym chłopcem jak mój brat, muszą cię porwać Japończycy, a ty potem wracasz i mówisz, że nic się nie stało”). Jak wzbudzić zazdrość męża („Co roku przez dwadzieścia pięć lat dostawałam pocztą kalendarz od wyjątkowego, miłego Japończyka, który w czasie wojny pracował ze mną na kolei”).

Gdy trochę podrosłam, wydobywanie z babci prawdy o niej jako nastolatce w okupowanym Kuala Lumpur przypominało podchody. Kiedy pytałam, jak wyglądało jej życie w czasie okupacji, mówiła zawsze: „Normalnie! Jak wszystkich”.

Koniec końców jednak przez lata ten miarowy głos przekazujący suche fakty powiedział mi dużo więcej – że ludzie nie mieli jak wyżywić swoich rodzin, że zamknięto szkoły, a funkcjonariusze bezwzględnej japońskiej tajnej policji Kempeitai uwięzili przedstawicieli brytyjskich władz w Singapurze i zdusili chińskie rebelle w dżungli.

Zapomniałam o tym na całe lata. Miałam co innego do zrobienia, musiałam być gdzie indziej – tak przynajmniej sądziłam. Musiałam pracować, zarabiać pieniądze, opowiadać własne historie. Aż w 2019 roku, w ramach swobodnego powrotu do korzeni, zaczęłam pisać o Malezji.

W trakcie warsztatów pisarskich pod koniec 2019 roku powstało coś, co uważałam za wprawkę, zadanie domowe – o nastolatce, która stara się wrócić do domu przed godziną policyjną, zanim japońscy żołnierze zapanują na ulicach. Pamiętam odręczne

notatki – uwagi prowadzącej: „Nie zgub tego skarbu – przykażać – i pisz dalej”.

Więc pisałam. Pisałam w czasie pandemii w swoim małym mieszkaniu, pisałam, gdy przedwcześnie odeszła moja mama, pisałam w dotkliwej samotności, gdy nie mogłam pojechać do Malezji. Pisałam o dziedzicznym bólu, o kobietach, matkach, córkach i siostrach, o tym, jak nasze wybory odbijają się echem przez całe pokolenia naszych rodzin i społeczności w sposób całkowicie nieprzewidziany. Pisałam o tym, jak się niesie w swoim ciele dziedzictwo kolonizacji, o słabości do toksycznego mężczyzny, o skomplikowanych przyjaźniach, o pokawałkowanym życiu, o niejednoznaczności dobra i zła w sytuacjach, gdy stawką jest przetrwanie. Moja wprawka jest teraz czwartym rozdziałem powieści.

Mam nadzieję, że *Rozpętałyśmy burzę* się Wam spodoba, że z przyjemnością przeczytacie, jak Cecyli, Jujube, Abel i Jasmine idą przez świat. Mam nadzieję, że w trakcie tej lektury poczujecie miłość, zachwyty, smutek i radość. A przede wszystkim mam nadzieję, że zapamiętacie ich historie.

Dziękuję za lekturę
Wasza Vanessa



Rozdział pierwszy

CECILY

BINTANG, KUALA LUMPUR
LUTY 1945 ROKU
MALAJE POD OKUPACJĄ JAPOŃSKĄ

Zaczęli znikać nastoletni chłopcy.

Najpierw Cecily usłyszała o zniknięciu jednego z braci Chin – średniego spośród piątki niezdarnych chłopaków o wąskich czołach i szerokich barach. Nazywali się Boon Hock, Boon Lam, Boon Khong, Boon Hee i Boon Wai, ale matka na każdego wołała Boon, a oni już sami musieli wiedzieć, o którego akurat chodzi. Za rządów brytyjskich wszyscy ci chłopcy słynęli z bogactwa i okrucieństwa. Zwykle widziało się ich zebranych w kręgu za jarmarcznym brązowo-złotym domem Chinów. Stali nad sługą, jeden trzymał w dłoni różgę, a wszystkim błyszczały oczy, ilekroć różga smagała skórę nieszczęśnika. Kiedy przed Bożym Narodzeniem 1941 roku przybyli Japończycy, chłopcy prezentowali postawę wyzywającą; gniewnym wzrokiem śledzili patrole Kempeitai, spluwali, jeśli któryś podszedł bliżej. Ten średni, Boon Khong, zniknął, po prostu pewnego dnia się ulotnił, jakby nigdy nie istniał. I ot tak z piątki braci Chin została czwórka.

Sąsiedzi się zastanawiali, co się stało z chłopcem. Pani Tan spekulowała, że po prostu uciekł. Puan Azreen, zawsze przygnębiony, martwił się, że chłopak wdał się w bójkę i leży gdzieś w rowie, więc gdy ktoś szedł załatwić swoje sprawy, po drodze zaglądał do rowów, trochę się bojąc, co tam znajdzie. Inne matki kręciły głowami; taki los łobuzów, mówiły, może wreszcie miarka się przebrała. Cecily wypatrywała matki Boonów, ciekawa, czy ujrzy ją na posterunku przy drzwiach wyczekującą wieści albo w ataku hysterii przerażonej matki, ale pani Chin, jak i cała rodzina, rzadko wychodziła z domu, a kiedy się to zdarzało, czterech chłopcy otaczali rodziców o szarych twarzach wielkim murem ścięgien i mięśni, pilnując, by nikt ich nie zobaczył.

Cecily tylko raz spotkała panią Chin, wczesnym rankiem w miejscowym sklepiku. Pani Chin z twarzą lśniącą od łez wpatrywała się w przekąskę kalmarową. Cecily zdumiała się cichością tej sceny – żadnych szlochów, żadnego potrząsania głową, tylko jasne, mokre policzki i wilgotne oczy.

– Stoi tak już dobre pięć minut – powiedziała ciocia Mui, żona właściciela, wyraźnie ucieszona, że może się tym odkryciem z kimś podzielić.

Po kilku tygodniach, wobec braku kolejnych publicznych manifestacji bólu i nowych plotek, ludzie przestali się interesować losem młodych Chinów. Wkrótce w ogóle zapomnieli, który to z nich zaginął.

Następne zaginięcia nastąpiły szybko, jedno po drugim. Chudzielec, który sprzątał groby (Cecily była przekonana, że chłopak kradnie kwiaty złożone przez rodziny na mogiłach i sprzedaje je na cmentarzu). Grubasek mieszkający koło sklepiku, ten, co brudził sobie buzię i udawał kalekę, związując końce nogawek, by żebrać

na ulicy. Strasznooki, którego przyłapano kiedyś, jak podglądał dziewczęta w szkolnej toalecie. Łobuzy, kwitowali sąsiedzi i sama Cecily. Może i sobie zasłużyli.

Ale nim nastąpiła połowa roku, zaczęli też zniknąć synowie ludzi, których Cecily znała. Bratanek sąsiadów z domu obok, chłopak o imponującym barytonie, wygrywający wszystkie szkolne konkursy oratorskie. Syn doktora z miasta, cichy młodzian, co to wszędzie nosił ze sobą szachownicę i siadał do rozgrywki z każdym chętnym. Chłopak od praczki, bardzo pracowity, tak sprawnie prał mundury japońskich żołnierzy. Teraz wszystkim musiała się zająć jego matka, bo Japończycy nie dawali czasu na żalobę.

Z jedną jedyną drogą przecinającą miasteczko na pół, jedną apteką, jednym sklepikiem, jedną szkołą męską i jedną żeńską, Bintang był tak mały, że zmiany napawały jego mieszkańców lękiem. Znowu zaczęły się szepty, ukradkowe spojrzenia rzucane na rodziny zaginionych, ściszone głosy zastanawiające się nad ich losem. Każdy z chłopców zniknął dyskretnie, jakby się wymknął, nie chcąc nikogo urazić. To nie dawało Cecily spokoju, bo nastoletni chłopcy, ciągle w ruchu, robili najwięcej hałasu – wpadali na coś, tupali, wiercili się niespokojnie, nawet jak stali w miejscu, niezdolni kontrolować nowej siły fizycznej, nowej długości swoich kończyn.

– Mało, że nas głodzą i biją, odbierają nam szkoły i życie? Muszą jeszcze odbierać nam dzieci? – sarknął stary wujek Chong, właściciel sklepiku z różnościami Chong Sin Kee. To tutaj mieszkańcy Bintangu zaopatrywali się we wszystko, od przypraw i ziół po ryż i mydło. Jego żona, ciocia Mui, pacnęła go w usta. To były zdradzieckie słowa, a Chongowie też mieli syna.

Nie zawsze tak było. Kiedy Japończycy się pojawili, jakieś trzy lata wcześniej, Cecily i jej mąż wraz z trójką dzieci znaleźli się

wśród rodzin, które ustawiły się przed swoimi domami i machały wkraczającym wojskom na powitanie. Cecily pamiętała dumę, z jaką wskazała tysego, przysadzystego japońskiego generała Shigeru Fujiwarę na czele defilady, mówiąc dzieciom: „Oto Tygrys Malajski”.

Generał Fujiwara w ciągu siedmiu tygodni rzucił Brytyjczyków na kolana, zorganizowawszy genialną i niespodziewaną inwazję drogą lądową – jego żołnierze najechali Malaje na rowerach od północy, przez granicę z Tajlandią, przez gęstą, duszną dżunglę, podczas gdy marynarka brytyjska, spodziewając się natarcia od strony morza, wycelowała działa na południe i wschód, w kierunku Singapuru i Morza Południowochińskiego. Cecily widziała w tym początek nowej epoki. Ale jej nadzieja, że oto przyszedł lepszy kolonizator, nie żyła długo. Po kilku miesiącach Japończycy zaczęli zamykać szkoły, a żołnierze na ulicach dawali się mieszkańcom we znaki. Japońscy okupanci w ciągu trzech lat zabili więcej ludzi niż brytyjscy kolonizatorzy w ciągu pięćdziesięciu. Brutalność wstrząsnęła spokojnymi Malajczykami, przyzwyczajonymi już do stoicyzmu i znudzonej obojętności Brytyjczyków, którzy generalnie trzymali się z daleka od miejscowych, o ile dostali wymagane ilości cyny i kauczuku.

Ze strachu przed tym, co nadejdzie, Cecily zaczęła co wieczór organizować zbiórki, żeby się upewnić, czy wszystkie jej dzieci wróciły do domu.

– Jujube! – wołała pośród harmidru przygotowań do kolacji. – Jasmin! Abel!

I co wieczór się meldowali – Jujube z irytacją, twarzą obleczoną w wyraz powagi typowej dla najstarszego dziecka, Jasmin radośnie, tupocząc drobnymi stópkami jak szczeniaczek. Abel

natomiast – średnie dziecko, o które najbardziej się martwiła – wołał „Mama, no przecież jestem!” i nachylał się do niej z serdecznym uściskiem.

Przez jakiś czas wydawało się, że system działa. Każdego wieczoru, gdy słońce zachodziło, a moskity zaczynały wieczorny chór, wołała swoje dzieci, one zaś odpowiadały. Rodzina się zbierała przy podrapanym stole i każdy relacjonował, jak mu minął dzień, i przez kilka minut, słuchając, jak Jasmin parska śmiechem po kolejnym żarcie Abla, patrząc, jak Jujube ciągnie za swoje krótkie loki tak podobne do loków matki, Cecily zapominała o powadze sytuacji, o potworności wojny, o życiu odartym ze wszystkiego.

Nagle jednak, w swoje piętnaste urodziny, piętnastego lutego, Abel – który miał jasnobrązowe włosy, zupełnie inne niż u reszty rodzeństwa, Abel, który cały czas chodził wściekle głodny z powodu niedoborów żywności, Abel, który w zeszłym roku urósł o piętnaście centymetrów i teraz był najwyższy w rodzinie – nie stawiał się na zbiórkę, nie wrócił do domu ze sklepu. A gdy urodzinowa świeczka wtopiła się w suche urodzinowe ciasto, Cecily wiedziała. Złe rzeczy zdarzają się złym ludziom, więc wszystko się zgadzało – bo ona była złym człowiekiem.

Przez ostatnie kilka lat z trudem ukrywała strach, który rządził jej życiem; wiedziała, że za wszystko, co uczyniła, będzie musiała zapłacić, a kara jest tuż-tuż. Ten strach przejawiał się w jej nerwowości, wykręcaniu palców, w tym, jak wodziła wzrokiem za dziećmi, w nieufności, którą okazywała każdemu nieznanemu. Teraz, gdy doszło już do tragedii, poczuła, jak napięcie w jej ciele po prostu puszcza kawałek po kawałku. Od Jujube dowiedziała się później, że zawyla długo, głucho i boleśnie, a potem padła na ratanowy fotel i tak została: z kamienną twarzą, nieruchoma, niema.

Dokoła niej rodzina krzątała się gorączkowo. Jej mąż Gordon krążył, krzycząc do siebie albo do niej na całe gardło: „Może poszedł do sklepu; może utknął na punkcie kontrolnym, może to, może tamto”. Jasmin trzymała się kciuka starszej siostry, z twarzą zbyt spokojną jak na siedmiolatkę. Jujube, zawsze praktyczna, ruszyła do akcji. Wyswobodziła się z uchwytu Jasmin i pobiegła za dom, wołając przez ogrodzenie do sąsiadów z prawa i lewa: „Widzieliście mojego brata? Pomóżcie mi znaleźć brata?”. Ale minęła już dwudziesta, była godzina policyjna, nikt z sąsiadów nie ośmielił się odpowiedzieć, choć od krzyków dziewczyny pękały im serca.

Cecily nic nie mówiła. Przez kilka minut, nim zawładnęło nią poczucie winy, czuła ulgę, że koszmar się ziścił. Wreszcie się stał, a to wszystko była jej wina.

Ona to zrobiła, wszystko przez nią. Wszystko.

*

Rankiem po zniknięciu Abla sąsiedzi Cecily zaczęli działać. Alcantarowie byli szanowaną rodziną, a szanowane rodziny nie zasługiwały na takie tragedie. Mężczyźni zorganizowali dzienne grupy poszukiwawcze, krążyli, wykrzykując imię zaginionego. Zagląдали do składzików za domami, w kąty ulubionych sklepów Abla, na place zabaw i do opuszczonych fabryk. Zerkali na dawną szkołę, w której Japończycy urządzili ośrodek przesłuchań, tam jednak nie zajrzeli. Zatrzymywali się w małych grupkach, pochylali nisko głowy, kiedy przyglądali im się żandarmi Kempeitai w brunatnozielonych mundurach, ale w głębi duszy byli z siebie zadowoleni, bo w kupie czuli się bezpieczni, a te poszukiwania chłopca postrzegali jako swoją małą rewolucję, rebelię przeciwko Japończykom. Kobiety potraktowały ten incydent jak narodziny albo śmierć,

znosiły więc do domu Alcantarów niezliczone ilości jedzenia i służyły pocieszeniem. Zapewniały Cecily, że wszystko będzie dobrze – że Abel jest po prostu nierozważnym chłopakiem i pewnie gdzieś zasnął, i niedługo trafi do domu, że stracił poczucie czasu i został na noc u któregoś kolegi, że tacy chłopcy jak on – tacy przystojni, uroczy, obiecujący – nie znikają tak po prostu.

Cecily zdaniem tych kobiet okazała się zaskakująco niewdzięczna. Nie dziękowała, gdy przynosiły jedzenie, nie zapraszała ich do środka na herbatę, nie płakała, nie zwierzała się ani nie omdlewała, co byłoby zrozumiałe. Nic z tych rzeczy, wyglądała jedynie na strasznie pobudzoną i czujną, strzelała oczami na wszystkie strony, jakby gotowa się rzucić. Na co? Nie wiedziały. Oczywiście jej współczuły, zapewniały się szeptem, ale Cecily czasami naprawdę przesadzała. Pamiętacie te straszne historie, które opowiadała kiedyś swoim dzieciom?

– Tę o człowieku, któremu kazano pić mydliny, aż mu się zrobił wielki, obwisły brzuch, a wtedy japońscy żołnierze położyli na nim deskę i skakali na końcach jak na huśtawce, aż pękł? – mówiła pani Chua.

– *Aiya*, och! Naprawdę musisz powtarzać te potworności?! – biadolili pani Tan. – Moje dzieci całymi tygodniami miały w nocy koszmary!

Czasami Cecily naprawdę nie miała pojęcia, jak się należy zachować, tak uważały. Wszystkie były matkami, wiedziały, co przystoi matce. I kiedy matka traciła syna, powinna płakać, padać na ziemię, szukać pocieszenia u innych matek. Nie powinna używać swojego bólu jako tarczy, być taka drażliwa, że strach podejść.

Niemniej musiały się zachowywać jak dobre sąsiadki. Pani Tan dalej posyłała do domu Alcantarów miski gorącej zupy, a gdy

nazajutrz widziała po drodze te miski dokładnie w tym samym miejscu przed wejściem, starała się nie czuć urażona. Pani Chua proponowała, że zajmie się Jujube i Jasmin, żeby Cecyli odpoczęła. Puan Azreen, która uwielbiała dramatyzować, opowiadała wszystkie zasłyszane historie o zaginionych osobach, ale nie powstrzymała się od okraszenia ich potwornościami – o ludziach wracających do domu bez kończyn albo ze zdeformowanymi twarzami.

Przynajmniej Gordon, mąż Cecyli, wydawał się sąsiadom należycie wdzięczny. Razem z innymi mężczyznami przeczesywał miasto, nawoływał syna, poklepywał się po ramieniu z innymi mężczyznami, wszystkim dziękował za to, że poświęcają czas na poszukiwania. Zrobił się o wiele miłszy, zauważali sąsiedzi. Oczywiście nikt nikomu nie życzy takiej sytuacji, a skądże, cmokali, ale woleli tę wersję Gordona Alcantary, z utartym nosem, bez pychy, której w nim nie lubili za dawnych czasów, kiedy rządzą tu Brytyjczycy i Gordon był ich urzędnikiem. Uważał się bowiem wówczas za kogoś lepszego.

Nieobecność Abła liczyła się już w tygodniach. Mężczyźni tylko sporadycznie wyruszali na poszukiwania, a kobiety rzadziej przychodziły do domu Alcantarów. Chłopców znikało coraz więcej, sąsiedzi siedzieli zatem w domach i pilnowali swoich synów, byle nie padł na nich złowieszczy wzrok żandarmów Kempeitai. Radosne poczucie rebelii pierzchło, a sąsiedzi sobie przypomnieli, że w czasie wojny jedynym priorytetem jest własna rodzina. Nie mogli marnować czasu na szukanie cudzych zaginionych dzieci.

*

Tydzień przed zniknięciem Abel wrócił do domu z naręczem brzydkich, niewydarzonych kwiatów, które najwyraźniej zerwał

przy drodze. Był jednak taki dumny, że Cecily wstawiła je do wazonu i udawała, że są to najpiękniejsze kwiaty, jakie w życiu widziała. Po jego zniknięciu zielsko poschło i się pokruszyło, ale Cecily nie była w stanie go wyrzucić. Aż któregoś popołudnia zapomniała zamknąć okno w sypialni w czasie burzy, takiej głośnej, wstrząsającej ścianami, tropikalnej burzy, z jakiej słyną Malaje. Mgiełka deszczowej wody rozpyliła się w pokoju, a wiatr wszystko przewracał, tłukąc przy tym wazon z wysuszonym bukietem od Abła. Wieczorem po burzy Gordon znalazł żonę, kiedy pokrwapionymi palcami usiłowała posklejać wazon, a zniszczony bukiet ułożyć tak, by był wzrostu chłopca. Ale podobnie jak z elementami, które wprowadziła w ruch przed dziesięciu laty, nie dało się nic naprawić. Nie było odwrotu.

Rozdział drugi

CECILY

BINTANG, KUALA LUMPUR

ROK 1935

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ, MALAJE POD OKUPACJĄ BRYTYJSKĄ

Cecily przyszła na świat w rodzinie euroazjatyckiej wywodzącej się z Portugalczyków, którzy przybyli do malajskich brzegów w XVI wieku jako pierwsi z długiego ciągu białych kolonizatorów, zbrojni w armaty i arkebuzy, a także ambicje kontrolowania szlaków korzennych regionu i tutejszych ogromnych bogactw naturalnych. Matka Cecily rozkoszowała się plamkami bieli w swoim nazwisku i krwi, mierząc innych oczami mrocznymi od osądu. „Nie przybyliśmy tu jako wyrobnicy – powtarzała – jak ci Chińczycy czy Hindusi, by harować na roli czy w kopalniach, i nie zostaliśmy podbici jak Malajczycy. Zrodzili nas biali ludzie, jesteśmy chrześcijanami, czcimy tych samych bogów i oni dali nam nazwiska: Rozario, Oliveiro czy Sequiera”.

Jako dziecko Cecily nic nie rozumiała, ponieważ u swoich euroazjatyckich koleżanek i członków rodziny widziała wszystkie kolory – brązowy, czarny, żółty – ale nie przypominała sobie ani jednej osoby białej w różowe plamy, takiej jak Brytyjczycy.

– Ach, no ale jesteśmy prawie biali, jak oni – upierała się matka, wpatrując się z uwielbieniem w jakąś przypadkową Brytyjkę czy Brytyjczyka, pocących się w egzotycznym upale: nauczyciela, zarządcę, księdza.

Cecily nigdy nie uważała się za piękną, nie miała poczucia wyższości. W dzieciństwie była ładna, ale niedostrzegalna, nie na tyle śliczna, by przyciągać uwagę. Widać to było, gdy matka z obojętnością, a niekiedy z rozczarowaniem patrzyła na burobrązowe włosy córki, jej oczy, skórę. Jej siostra Catherine, cztery lata starsza, miała aspiracje. Ze swoją oliwkową cerą i zielonoszarymi oczami ostatecznie poślubiła brytyjskiego oficera o nazwisku Abbott, który zabrał ją do Anglii, by zostać tam lordem. I w ten sposób Catherine została lady Abbott. Ale zwykle dziewczyny, jak Cecily, nawet jeśli były Euroazjatkami urodzonymi w domkach krytych strzechą w parych brytyjskich koloniach na początku XX wieku, miały prowadzić spokojne życie, odgrywając wszystkie przewidziane im role: najpierw dziewczęcia, które uczą się rozmaitych umiejętności wabiących dobrego męża, potem żony, która prowadzi dom i ma dobre relacje z sąsiadami, i wreszcie matki, która rodzi i wychowuje właściwą liczbę dzieci, by udowodnić swoją wartość.

I Cecily robiła to wszystko z cichą nieustępliwością, a nim skończyła trzydzieści lat, miała dwójkę dzieci – Jujube i Abła – oraz męża Gordona, kiedyś pulchnego euroazjatyckiego chłopca, który mieszkał dwie ulice dalej, a po ślubie zapewnił jej przyzwoity poziom życia. Mieszkali w małym domu o pomarańczowym dachu, zupełnie niepięknym, za to bardzo wygodnym. A jednak odczuwała irytujące niezadowolenie. Co rano stawała w gorącej kuchni, by gotować jajka na półtwardo dla męża i dzieci. Wlewała

czarną kawę do kubeczków, z uśmiechem na twarzy, czasami z piosenką na ustach. Ale podczas gotowania, śpiewania i wykonywania wszystkich tych powinności sugerujących spokojny mały świat domowego szczęścia, fantazjowała, że rozbija mężowi jajka na głowie, a gorącą kawą chlusta dzieciom w twarz. Mdlilo ją ze wstydu. Nie wiedziała, kiedy, dlaczego ani jak dokonała się w niej ta zmiana; nie wiedziała, jak się naprawić. Nawet czasami poza domem, kiedy na rynku targowała się ze straganiarzami nad rybą czy bakłażanem, czuła nagłą chęć, by krzyknąć i wywrócić na właścicieli stoły pełne łuskowatych ryb i ociekającej krwią wieprzowiny.

*

W ostatni wtorek 1935 roku Cecily nieufnie spoglądała na niebo. Miało padać, szare chmury zbierały się jak parafianie na mszę. Stała po kolana w cuchnących odpadach, a przy tym tak kurczowo wciskała stopy w klapki, by nie stracić równowagi, że skóra na stawach palców zupełnie jej pobieliała. Powietrze było wilgotne, jak to wieczorami w tropikalnych Malajach, dziś jeszcze bardziej, pod naporem groźnych deszczowych chmur. Bała się, że nie zdąży zakończyć zadania, nim lunie. Kopała w górach śmieci, przegarniając liście kapusty, resztki ryb i coś, co aż za dobrze przypominało zwierzęce wnętrzności. Upał uderzał w jej nozdrza odorem całej tej zgnilizny. Stłumiła torsje, przeklęła swoją misję i już miała się poddać, gdy zobaczyła poszukiwany dokument – kartka z notesu leżała spokojnie na torbie śmieci, przez które dopiero co się prze-
darła. Była poplamiona, ale nawet niepomięta, leżała sobie, jakby czekała, aż ktoś ją weźmie. Cecily chwyciła ją i lekko strząsnęła, czego zaraz pożałowała, bo prysnęła sobie w twarz odpadowym

plynem, którym kartka była uwalana. Na szczęście gryzmoły, wykresy, plamy i linie nakreślone ręką jej męża pozostały nie-
tknięte.

– Dobra robota, Cecily.

Ten oschły ton ją przestraszył, aż się pośliznęła. Kucnęła stabilniej, żeby nie wpaść głową w śmieci, co byłoby odrażającym
zwieńczeniem poszukiwań. Podniosła się i obróciła, trzymając
ręce przed sobą, by nie poplamić ubrań.

Fujiwara stał trzy kroki za nią. Dłonie miał białe i czyste, zde-
cydowanie różniące się od dłoni Cecily, brązowych i brudnych od
mokrych śmieci. Po zagnieceniach jego lnianego garnituru widać
było, że przeszedł przez miasto. Z wyciągniętą ręką postawił krok
w jej stronę, gestem wskazując kartkę. Spojrzała na niego spode
łba. Nie tak się umawiali, Fujiwara wiedział, że gdy pojawia się
gdzieś zniecka, jej się to nie podoba. Naruszało to równowagę
pieczołowicie zbudowanego charakter ich relacji, co z kolei naru-
szało jej równowagę.

Fujiwara wyjął jej z ręki kartkę, chwyciwszy nieuwalany róg.
Strząsnął ją, żeby wyschła na powietrzu. To nie podziałało, a wręcz
od wilgoci kartka wyglądała na jeszcze brudniejszą.

– Schowaj to, chyba że chcesz, by nas złapano – powiedziała
piskliwie. Próbowwała zamaskować ucisk w żołądku lodowatym
tonem, ale wypadło to słabo. W gardle rosła gula frustracji.

Tamtego dnia Cecily miała podrzucić zdobyte informacje do
sklepiku Chongów. Wsuwała tam palce między uszkodzoną ścianę
a niestabilną półkę z podpaskami, musiała wymacać małą wnękę
i wcisnąć tam cotygodniową kartkę. Taka skrzynka kontaktowa
była bardzo przemyślna – niby na widoku, bo w jednym z najczęs-
ciej odwiedzanych sklepów w okolicy, ale mężczyźni unikali tej

alejki i tej półki, nie chcąc mieć nic wspólnego z układem rozrodczym kobiet, kobiety natomiast wskazywały tam w pośpiechu, by nikt ich nie zauważył. Zaufana kucharka Fujiwary w czasie zakupów wyciągała materiały ze skrytki i przekazywała swojemu panu. Robili tak od miesięcy; on nie miał powodu zmieniać procedury.

– Nie podoba mi się to – syknęła Cecily. – Ktoś mógłby mnie przyłapać na rozmowie z tobą. – Zerknęła na główną drogę, równoległą do zaułka, w którym stali, zwykle bardzo ruchliwą. Minął ich samochód, potem riksza, potem rower, ale chyba nikt nie zwrócił na nich uwagi.

– Cecily – szepnął.

Wiele rzeczy irytowało ją w Fujiwarze, lecz najbardziej chyba to, że on w zasadzie zawsze mówił cicho, pod nosem. Zastanawiała się, czy ma świadomość, że cichy tembr jego głosu sam w sobie jest agresywny, bo ludzie muszą się skupić wyłącznie na tym, by nachylić się i słuchać.

Odwróciła się od niego, od szlachetnego profilu, na widok którego zawsze coś ją ścisnęło w żołądku. Fujiwara nie był piękny, ale w jego rysach były jakaś czystość i symetria, nadające mu aurę arystokraty. Sięgnęła po wąż i skupiła się na zmywaniu z rąk zapachu rybich resztek. Gdy zimny strumień uderzył w jej lewą dłoń, poczuła przeszywający ból, a z wodą popłynęła krew.

– Cecily, skaleczyłaś się.

Przysunął się, by spojrzeć na ranę, a wówczas powietrze wypełniło się miętowym zapachem brylantyny, przypominając Cecily, że Fujiwara ma nad nią władzę.

– Nic takiego, zadrapanie – odparła. „Bo kazałeś mi grzebać w śmieciach” – dodała w myślach. Oblekła tylko twarz w spokojny uśmiech, w zasadzie uśmieszek, którym chciała zamaskować

impuls, by złapać go za rękę, by zakomunikować, że go pragnie. Trwało to już od miesięcy. Spotkali się kilkakrotnie, a jej za każdym razem wszystko przewracało się w brzuchu, przez co się czuła głodna i odurzona.

– Przepraszam – usłyszała. – Wiem, że nie lubisz, jak coś zmieniamy.

Cecily przesunęła dłoń pod strumieniem wody i wzdrygnęła się, gdy przeszył ją ból.

– Muszę ci po prostu coś powiedzieć, nie mogłem czekać.

No i znowu, to rozkoszne ścięcie krwi w żyłach. Nigdy nie dał jej do zrozumienia, że czuje coś podobnego. Wręcz nigdy nie dał jej znaku, co w ogóle czuje w odniesieniu do kogokolwiek czy czegokolwiek.

Prawą dłonią wygładził kartkę o udo. Cecily wyjęła palce z wody, wytarła je o kwiecistą spódnicę. Krew zaczęła już krzepnąć, czerwone krople przyciemniły płatki kwiatu na tkaninie, ale plamy prawie nie było widać. Najciemniej pod latarnią.

– Co chcesz mi powiedzieć? – spytała. Usłyszała w swoim głosie niemal błaganie i nienawidziła tego.

– Te liczby się nam przydadzą. – Wpatrywał się w kartkę, ignorując jej pytanie i ściągając ciemne brwi.

Przyglądała mu się. Na jego czole pojawiła się kropelka potu, co było nietypowe, bo zawsze wyglądał świeżo, jakby się dopiero co wykapał. Cecily miała ochotę wysunąć język i zlizać tę kropkę, poczuć palący smak soli.

– Będę musiał to zabrać do przeanalizowania – powiedział. Ponieważ odsunął się od niej, ledwie go słyszała. – Ale wygląda to na zapiski twojego męża o pływach w porcie. Musiał umieścić swoje obserwacje w większym raporcie i wyrzucić te notatki.

Cecily kiwnęła głową, ledwie go słuchając. Rozpaczliwie usiłowała oderwać wzrok od kropli potu. Zraniony palec pulsował ze wstydu.

– No dobrze. Skoro nie zamierzasz mi powiedzieć, co się dzieje, to ja idę. To niebezpieczne tak stać, poza tym muszę biec do dzieci. – Odwróciła się, wstrzymując oddech. Powtarzała sobie w duchu, że da radę odejść.

– Czekaj! – Fujiwara aż syknął. Gdzieś blisko gdała majna, jakby drwiła z ich impasu. – Słyszałem o Niemcu, który jest jednocześnie dobry i zły, i wygra nam wojnę z Brytyjczykami. – Jego głos wibrował ekscytacją, przez co jeszcze trudniej było go usłyszeć.

Cecily cofnęła się i obróciła twarzą do niego. To było niecodzienne. Ich relacja miała charakter transakcyjny; Fujiwara był jej szefem w siatce szpiegowskiej. Ona zbierała informacje wywiadowcze, głównie wykradając je od męża, czy to z kartek w jego koszu, czy z podsłuchanych rozmów. Gordon był niczego niepodejrzewającym kierownikiem średniego szczebla administracji brytyjskiej w wydziale robót publicznych, skupiającym się na geologii i gospodarce gruntami. Nie kochał tej pracy, ale że tytuł „kierownik wydziału gruntów” dawał mu wystarczający szacunek wśród znajomych, tolerował ją. Fujiwara przekazywał zdobycze Cecily przełożonym, małe kawałki zawitych puzzli, które Japończycy próbowali poskładać, by pokonać Brytyjczyków obecnych w Malajach od ponad stu lat. Od Fujiwary rzadko dostawała jakieś informacje; wszystko, co wiedziała, musiała wywnioskować z pełnych zakłóceń komunikatów radiowych o poczynaniach Niemców i Japończyków w miejscach tak odległych, że wydawały się nieprawdziwe. Czasami, wieczorem, gdy czuła się zagubiona,

zastanawiała się, czy Malaje kiedykolwiek zostaną wyzwolone. Miała nadzieję, że tak.

– Czy nie każdy jest jednocześnie dobry i zły? – spytała. – Po co dokładać zagadek?

– Cecily... – Kąciki ust Fujiwary powędrowały w górę. – To właśnie najbardziej w tobie lubię. Ja jestem marzycielem, a ty zawsze jesteś praktyczna.

Zalała ją fala gorąca, poczuła, jak czerwienią się koniuszki jej uszu. Chyba jeszcze nigdy nie powiedział jej komplementu tak wprost. „Lubię”. Powiedział: „najbardziej w tobie lubię”. Przyglądała niesforne pasmo włosów i miała nadzieję, że on uzna jej rumieniec za reakcję na wieczorny skwar.

– Powinnaś wiedzieć... Chcę, żebyś wiedziała... Będzie sojusz... pomiędzy Niemcami, Włochami i Japonią, potężny sojusz. Właśnie on nada kształt przyszłości.

Mówił głosem przejętym, skrzącym się energią. Cecily też to poczuła. Od samego początku rozmawiała z Fujiwarą o świecie, w którym Azjaci stanowią o swojej przyszłości, świecie, w którym o statusie społecznym nie decyduje, ile stopni pokrewieństwa dzieli daną osobę od białego człowieka. Dzięki takiemu sojuszowi – Niemców z Włochami i Japonią, której przywódca poprzysięgł uwolnić Azję od brytyjskiej plagi – to wszystko stawało się rzeczywistością możliwe. Wypuściła powietrze, choć nawet nie zauważyła, że wstrzymała oddech. Fujiwara wypowiedział tak niewiele słów, a jednak pchnął ją do czynu, jakby od zmiany dzieliła ją jedna fala, a ona obserwowała z brzegu jej nadciągający grzbiet. I może na razie to wystarczało.

*

Fujiwara pojawił się w życiu Cecily w porze monsunowej 1934 roku, wtargnął jak porywisty wiatr tropikalnych burz, który smagał drzewa i rzucał wszystkim z miejsca na miejsce. Tydzień przed Bożym Narodzeniem. W powietrzu czuło się zapowiedź nowego roku, wieczorów wypełnionych przyjęciami celebrującymi koniec starego. Tego dnia było chłodno, bo całe popołudnie szalała burza, więc Cecily w końcu odczuła ulgę; wiedziała, że nie przepoci eleganckiej sukienki. Po raz pierwszy w życiu zaproszono ich do domu ministra-rezydenta, by świętować mianowanie zastępcy brytyjskiego przedstawiciela w Bintangu. Gordon wcześniej trzy razy kazał się jej przebrać, nim wreszcie wskazał kremową sukienkę z jasnoróżowym paskiem po bokach, ani zbyt obcisłą, ani zbyt luźną, jego zdaniem i odpowiednią, i stosownie skromną.

Wieloletni minister-rezydent, posępny Frank Lewisham, odpowiadał głównie za utrzymanie spokoju i dopilnowanie, by Bintang dostarczył ustalone ilości kauczuku i rudy cynku. Cecily przyglądała się nowemu zastępcy – chudy, głupkowaty z wyglądu William Ommaney miał chyba najbardziej spękane wargi, jakie w życiu widziała. Pewnie dlatego, że w nerwach je oblizywał. Gordon cieszył się z tej nominacji. Był lojalistą i zwolennikiem Brytyjczyków. W jego odczuciu mianowanie Ommaneya oznaczało, że Kuala Lumpur – miasto, które wchłonęło ich Bintang – miało się stać, podobnie jak pobliskie wyspy Singapur i Pinang, jedną z głównych siedzib administracji w Malajach Brytyjskich.

– Korona wreszcie dostrzegła nasz cały potencjał! – krzyknął do żony na wieść o tych zmianach.

Na przyjęcie przybyły tłumy ludzi, powietrze wypełniał rosnący gwar rozmów, w którym od czasu do czasu niosły się piski Brytyjek odbijające się od czystych białych ścian. Rezydencja była

imponującą budowlą, stojącą pośrodku gładkiego, wystrzyżonego trawnika z bujnymi pterokarpusami, których liście trzepotały na monsunowym wietrze. Głos Billie Holiday płynął z gramofonu na wypielęgnowany trawnik, wieczór wydawał się ospały, otulony podeszczową mgłą. Cecily odkryła ze zdziwieniem, że delikatnie przestępuje z nogi na nogę, prawie jakby tańczyła, po raz pierwszy w życiu. Dziwne. Zawsze uważała taniec za rozrywkę dla ładniejszych dziewcząt. Zwykle kobiety jak ona nie miały dostępu do rozrywek zarezerwowanych dla piękności.

W wirze prezentacji i niepotrzebnych uścisków dłoni Cecily po raz pierwszy spotkała Fujiwarę. Z tym że wówczas nazywał się inaczej. Mówił z brytyjskim akcentem, choć, jak później się dowiedziała, angielski nie był jego językiem ojczystym.

– Bingley Chan – przedstawił się, wypowiadając „-ley” tak twardo, że aż ścisnęło mu się gardło. Wyciągnął rękę na powitanie, a ktoś dodał, że jest on handlowcem z Hongkongu specjalizującym się w obrocie towarami orientalnymi.

Cecily mu się przyjrzała, temu Azjacie, który najwyraźniej cieszył się zaskakującym szacunkiem Brytyjczyków. Nie miał krągłych rysów, które nauczyła się rozpoznawać u ludzi z południowych Chin ściąganych do Malajów przez Brytyjczyków, żeby pracowali w kopalniach. Ale też nie poznała wielu Azjatów poza Malajczykami.

– Panie Chan, prowadzi pan jakieś interesy z Niemcami czy też ogranicza się pan ściśle do Korony i naszego kraju? – spytał Gordon, nadymając klatkę piersiową i siląc się na akcent, który jego zdaniem brzmiał wytwornie. Cecily mało się nie skrzywiła.

– Niemcom z pewnością niepotrzebni są handlowcy sprzedający przyprawy i dywaniki – odrzekł Bingley Chan protekcyjnym tonem, podnosząc jedną brew.

– Cholerni Niemcy! – krzyknął ktoś i wszyscy panowie dokoła ryknęli jak to mężczyźni, raczej w ramach męskiej solidarności niż dlatego, że zrozumieli żart. Bingley Chan wygiął wargi w namiastce uśmiechu. Cecily zauważyła jednak, że – podobnie jak ona – nie roześmiał się.

*

Po przyjęciu u rezydenta Bingley zaczął wpadać do domu Alcantarów w godzinach wieczornych, gdy dzieci były już w łózkach. Gordon – urzeczony pomysłem, że ustosunkowany Brytyjczyk, choćby i azjatyckiego pochodzenia, chce należeć do ich kręgu towarzyskiego – przyjmował go z zachwytem, upajając się podniesionym w swoim mniemaniu statusem. Panowie rozsiadali się przed domem na rattanowych fotelach z poduchami. Popijali brązową whisky przyniesioną przez Bingleya, kołysząc szklankami, Gordon zachwycił się jakością trunku, Bingley zaprzeczając zapytany, czy nabył alkohol na czarnym rynku. Mijała godzina, dwie, trzy, panowie śmiali się na całe gardło, z niczego, a Cecily, uśmiechając się z pobłażaniem, dzierżyła swoją pierwszą i jedyną szklankę.

Wkrótce nadeszły noce, gdy Gordon przysypiał na fotelu, palcami wciąż ściskając szklankę, z udami rozwalonymi na rattanowym fotelu, z twarzą zwiotczałą w alkoholowym śnie. Z początku Cecily była zakłopotana, tłumaczyła męża: „Och, miał w pracy ciężki dzień” – mówiła, przepraszając Bingleya, który mógłby się poczuć urażony, i odprowadzała go do drzwi. Ale po trzech wieczorach holowania męża do łóżka w pojedynkę, przyjęła od Bingleya propozycję pomocy. I tak to się zaczęło: co wieczór we dwoje ciągnęli Gordona, czasami delikatnie za ramiona, czasami brutalnie za rękę, do sypialni, rzucali go na posłanie w ubraniu,

chichocząc jak dzieci z jego chrapania. Przyjacielsko, nic poza tym, mówiła sobie. Miły dżentelmen pomaga jej zataskać męża do łóżka po uroczym wieczorze.

Wszystko się jednak zmienia, ta relacja też. Bingley już nie wychodził od razu po zaciągnięciu Gordona do łóżka. Z początku zostawał ot, na kilka minut przy drzwiach, rozmawiali o tym, co się dzieje w okolicy, wznoszeniem oczu do nieba kwitując wyczytany pani Carvalho, wścibskiej sąsiadki zza płotu, albo utyskiwali zgodnie na wilgotność powietrza, która nie odpuszczała nawet nocą. Bardzo szybko banalne konwersacje przeszły w wyznania, do których Bingley musiał usiąść i słuchać.

Cecily czuła coraz większe rozczarowanie Brytyjczykami, inaczej niż jej matka i mąż, darzący ich szacunkiem. Im była starsza, tym wyraźniej widziała słabości i lichotę białych ludzi dokoła – trzecich czy czwartych synów bez prawa do majątku, słabych żołnierzy, alkoholików, których pozbyła się rodzina czy regiment, więc zostali wysłani w odległe miejsca takie jak Półwysep Malajski, aby odzyskać odrobinę godności dla rodu. A tutaj, cuchnący w swoich nieodpowiednich do klimatu wełnianych garniturach, paradowali w aurze nieuzasadnionej – jej zdaniem – wyższości, aż dostrzegli wyjątkowo kształtne miejscowe piersi, na których widok rozjaśniały się ich wodniste oczy.

Ścisnęła ją ze wstydu, gdy Brytyjki unikały jej w sklepie albo ilekroć jej mąż wracał do domu przejęty drobiną uznania białego kolegi, który nie pamiętał nawet jego nazwiska.

Chwilami gasła w niej nadzieja na lepszą przyszłość jej dzieci. Na przykład tego dnia, gdy sześćioletnia Jujube wróciła ze szkoły podekscytowana, z zarumienionymi policzkami, wciągnęła sobie braciszka na kolana i zaczęła wrzeszczeć PRYMITYWNY

do jego ucha, aż Abel się rozplakał, a jego szare oczy zalśniły jak powierzchnia bagna.

– Jujube! – krzyknęła Cecily oburzona. – Skąd znasz to słowo?! – Słyszac tak brzydkie wyrażenie z dziecięcych ust, przeżyła głęboki szok.

– Nauczyciele w szkole tak o nas mówią! I że dlatego musieli przepłynąć taki kawał drogi, żeby nam pomóc! I dlatego musimy chodzić do kościoła, żeby bóg zobaczył, że jesteśmy... nawróceni!

Jujube zawodziła, krzywiąc twarz z wysiłku, by powtórzyć wszystko, czego się dowiedziała. Cecily się wzdrygnęła, ale poza uczyszaniem Jujube i pocieszaniem skołowanego Abła nie wiedziała, jak wyjaśnić córce, że nawet jeśli sobie wmówią, że są prawie jak biali, nawet jeśli będą się kurczowo trzymali kleksów europejskości w swoich żyłach, to nie znaczy nic.

Gordon i matka Cecily mieli zawsze nadzieję, że biel w ich krwi przeważy nad brązem skóry, że jeśli zaczekają i będą cierpliwie służyć brytyjskim panom, biali ludzie dostrzegą ich – mocno rozcieńczony – europejski rodowód. Że zostaną wyniesieni ponad Malajczyków innych ras. Ale choćby nie wiadomo jak szorowali swoją skórę, by odsłonić jaśniejsze warstwy, choćby nie wiadomo jak artykułowali samogłoski języka angielskiego, choćby nie wiadomo jak głośno wypowiadali swoje nazwisko, choćby nie wiadomo jak starali się być ucywilizowani, w oczach białych imperialistów pozostawali kimś gorszym.

Bingley też się jej zwierzał. Powiedział cichym zrezygnowanym głosem o upokorzeniach, których zaznawał od Brytyjczyków – jak go przezywali, jak sztydzili z jego oczu. Powiedział jej o swoim synu, który zmarł kilka tygodni po narodzinach, o związku, swoim związku, który nie przetrwał tego bólu. Przełknął ślinę i nie

miał siły już mówić dalej. Długo po tym, jak wszystko się wydarzyło, zdała sobie sprawę, że właśnie w tamtym momencie wszelki jej opór został przełamany. Miała wrażenie, że mimowolnie się przed nią obnażył w swoim poranieniu, i tą jedną intymną chwilą słabości przekonał ją do współpracy.

Po latach Cecily spróbuje sobie przypomnieć szczegóły tego wieczoru, gdy zdradził jej swoją tożsamość. Czy bzycały wówczas moskity? Księżyc był w pełni czy w nowiu? Było ciepło czy chłodno? Nie mogła sobie przypomnieć. Wiedziała tylko, że musiał uznać, że dostatecznie ją już urobił, odsłonił wrażliwe warstwy, przygotował ją. Gdy jej mąż spał w małżeńskim łóżu, Bingley powiedział, że nazywa się Fujiwara. Jego akcent się zmienił, mówił teraz po angielsku z akcentem japońskim, i wyjawiał jej, że tak naprawdę jest japońskim wojskowym, że marzy mu się Azja dla Azjatów, świat, w którym biały człowiek nie zawsze wygrywa.

Pamiętała tylko, że po tym wyznaniu ze wstrzymanym oddechem słuchała jak urzeczona o ideałach Fujiwary, logicznych i romantycznych jednocześnie. Opowiadał jej o świecie, w którym ludzie o ich wyglądzie nie są już poddanymi imperium, o Azji, która dba o swoich i jest rządzona przez swoich, o społeczeństwie, które likwiduje struktury białych ludzi – choć jej od zawsze mówiono, że liczą się tylko one, a ona nie czuła się w nich dobrze. Potajemne wieczory trwały, aż Cecily stwierdziła, że ona też sobie wyobraża świat odebrany Brytyjczykom, przyszłość, w której ona, jej dzieci, potem wnuki mogą być kimś więcej niż ignorowanym, nieważnym dodatkiem.